

SAHAR DELIJANI

DZIECI DRZEWA JAKARANDY

Sugestywny obraz trzech pokoleń –
kobiet i mężczyzn, którzy na przekór
okolicznościom podążają za marzeniami



Azar kuliła się pod ścianą na nierównej blaszanej podłodze furgonetki. Auto podskakiwało na wybojach, rzucało nią na boki. Wolną rękę zaciskała na czymś w rodzaju poręczy. Drugą podtrzymywała swój twardy, wydęty brzuch. Czuła w nim skurcze, od których oddech stawał się urywany, nieregularny. Przeszyła ją gorąca fala bólu biorącego początek gdzieś w okolicy krzyża. Azar zabrakło tchu, chwyciła spowijający ją czador, wpijając w niego kurczowo palce. Na każdym zakręcie obijała się o ściany wozu. Na każdej dziurze leciała do sufitu, a dziecko w jej brzuchu sztywniało. Opaska na oczach była mokra od potu.

Uniosła dłoń i otarła oczy. Nie śmiała zsunąć opaski, choć w tyle auta oprócz niej nie było nikogo. Wiedziała jednak, że za nią jest okienko. Wyczuła szybę, kiedy wsiadała. Siostra mogła się obejrzeć i zobaczyć. Mogli się też nagle zatrzymać i nie zdążyłaby podciągnąć opaski.

Nie wiedziała, co by się stało, gdyby złapali ją z odkrytymi oczami, i nie chciała tego wiedzieć. Czasami starała się przekonać samą siebie, że czający się w niej przejmujący lęk jest nieuzasadniony. Nikt nigdy nie podniósł na nią ręki, nie popychał jej, nie groził. Nie miała powodu tak strasznie się ich bać, tych sióstr i braci. Nie mogłaby podać żadnej

konkretnej przyczyny. Ale były te potworne krzyki, od których trzęsły się mury więzienia, rozlegające się w pustych korytarzach, budzące więźniarki ze snu w środku nocy, wdzierające się w rozmowy, gdy rozdzierały sobie obiady. Potem przez resztę dnia aż do późnego wieczora chodziły spięte, milczące. Nikt nie wiedział, co to za krzyki. Nikt nie ośmielił się pytać. To było wycie z bólu, tyle wiedziały. Bo nikt nie pomylił jęków bólu z innym krzykiem. To były wołania ciała bez tożsamości — opuszczonego, zmasakrowanego, sprowadzonego do mokrej plamy — które mogło już tylko zaznaczyć swoje istnienie tą siłą, z jaką rozdzierało ciszę więziennych murów. I nikt nie wiedział, kiedy przyjdzie jego kolej. Kiedy sam zniknie w korytarzu i nie pozostanie z niego nic, tylko ten skowyt. Wszyscy żyli więc i czekali, i wykonywali polecenia, zdając sobie sprawę, że wisi nad nimi wyrok, którego nie da się odwlekać w nieskończoność.

Z małej szczeliny gdzieś nad jej głową do wnętrza furgonetki napływało echo odgłosów budzącego się miasta. Podciąganie rolet, klaksony, śmiech dzieci, targowanie się ulicznych sprzedawców. Z przodu auta, zza szyby, docierały do niej skrawki rozmowy, choć nie umiała rozróżnić poszczególnych słów. Słyszała tylko, jak siostra rechoce z czegoś, co opowiada jeden z braci. Azar starała się ignorować te głosy, skupiając się na zewnętrznym poszumie miasta — jej ukochanego Teheranu, którego nie widziała ani nie słyszała od wielu miesięcy. Zastanawiała się, jak bardzo mogło się tu wszystko zmienić w związku z wojną z Irakiem, która ciągnęła się już trzeci rok. Czy miasto ogarnęła wojenna pożoga? Czy ludzie z niego uciekali? Dźwięki z zewnątrz wskazywały, że wszystko jest po staremu: ten sam chaos, harmider codziennych zmaganiań, zwykłego życia. Zastanawiała się, co w tej chwili robią jej rodzice. Matka pewnie stoi w kolejce do piekarni, ojciec wsiada na motocykl i rusza do pracy. Na myśl o nich ścisnęło ją w gardle. Uniósł

głowę, otworzyła szeroko usta i starała się nabrać w płuca powietrza sączącego się przez szczelinę.

Odchylając się do tyłu, oddychała głęboko, tak głęboko, że zaczęło palić ją w gardle i się rozkaszała. Rozluźniła ciasny węzeł chusty pod brodą i pozwoliła, by czador zsunął się jej z głowy. Trzymała się poręczy, usztywniona, starając się nie poddawać podskokom furgonetki, gdy przeszył ją kolejny dojmujący ból. Próbowwała usiąść. Przerazała ją myśl, że urodzi na blaszanej podłodze furgonetki, na tych wyboistych ulicach, z przeraźliwym śmiechem siostry dudniącym jej w uszach. Zaciskając mocniej dłoń na poręczy, nabrała powietrza i usiłowała zahamować parcie. Za wszelką cenę chciała utrzymać dziecko w sobie, nim dotrą do szpitala.

I wtedy właśnie poczuła, że coś wylewa się jej między nogami. Wstrzymała oddech, kiedy to coś w sposób niekontrolowany pocięło po jej udzie. Odsunęła połę czadora. Zmartwiła z przerażenia, ostrożnie dotknęła majtek czubkami palców. Wiedziała, że w pewnym momencie odchodzą wody płodowe, ale co potem? Czy to oznacza, że lada chwila urodzi? Czy to niebezpieczne? Dopiero zaczęła czytać książki o ciąży, gdy po nią przyszli. Nie dotarła do rozdziału o odchodzeniu wód, bólach porodowych i o tym, co spakować do szpitala, bo zaczęli łomotać do drzwi tak mocno, jakby je chcieli wyłamać. Kiedy ją wywlekali, jej brzuch robił się już widoczny.

Zacisnęła zęby, serce waliło jej jak oszalałe. Żałowała, że nie ma z nią matki, która wytłumaczyłaby jej, co się dzieje. Matka ze swoim niskim głosem i łagodną twarzą. Tak bardzo była jej teraz potrzebna, że Azar o mało serce nie pękło. Chciałaby przynajmniej mieć przy sobie coś należącego do matki, żeby się do tego przytulić. Coś z ubrania, chustę. Byłoby jej łatwiej.

Chciałaby, żeby Ismael był przy niej. Żeby trzymał ją za rękę i mówił, że wszystko będzie dobrze. Na pewno

przestraszyłby się, widząc ją w tych warunkach, potwornie by się zmartwił. Patrzyłby na nią tymi swoimi jasnobrązowymi oczami, tak jakby chciał przejąć jej ból, wziąć go na siebie. Nie mógł znieść, gdy Azar działa się krzywdą. Kiedy pewnego razu spadła z krzesła, na którym stanęła, żeby zrywać winogrona, był tak przerażony, że prawie płakał, podnosząc ją z ziemi.

— Myślałem, że złamałaś kręgosłup — powiedział potem. — Umarłbym, gdyby coś ci się stało.

Jego miłość sprawiała, że czuła się silna jak góra, niezniszczalna, nieśmiertelna. Potrzebowała tej bezmiernej miłości, zatroskanego spojrzenia, tego, że starając się go uspokoić, zawsze udawało się jej uspokoić też samą siebie.

Tak bardzo chciała, żeby był tu jej ojciec i zaniósł ją do swojego auta, a potem ruszył z nią jak szalony do szpitala.

Furgonetka się zatrzymała, a Azara wyrwana ze swoich myśli, obejrzała się gwałtownie, jakby mogła cokolwiek zobaczyć. Choć warkot silnika ustał, żadne drzwi się nie otworzyły. Jej dłonie powędrowały do chusty. Zawiązała ją mocniej, nasuwając czador na głowę. Znowu dobiegł ją śmiech siostry. Wkrótce uświadomiła sobie, że nie wysiadają, bo brat kończy swoją opowieść. Azar czekała, drżącymi rękami ściskając oślizgły rąbek czadora.

Po jakimś czasie usłyszała, że drzwi się otwierają i zatraskują. Ktoś majstrował przy zamku z tyłu furgonetki. Przytrzymując się poręczy, dźwignęła się i podsunęła bliżej. Drzwi się otworzyły.

— Wysiadaj — zakomenderowała siostra, zakładając jej kajdanki.

Azar odkryła, że ledwie jest w stanie ustać na nogach. Z trudem dotrzymywała kroku siostrze, tonąc w ciemnościach spowijających jej oczy. Mokre majtki lepiły się jej do ud. Wkrótce poczuła czyjeś ręce na tyle głowy, ktoś rozwiązywał opaskę. Zobaczyła, że stoi w słabo oświetlonym korytarzu. Z obu stron ciągnęły się szeregi zamkniętych drzwi. Kilka

plastikowych krzeseł stało pod ścianą, na której wisiały plakaty z buziami zadowolonych dzieci i zdjęcie pielęgniarki trzymającej palec na ustach, żeby nakazać ciszę. Azar poczuła się dużo pewniej, kiedy zdała sobie sprawę, że w końcu dotarli do więziennego szpitala.

Grupa młodych pielęgniarek przeszła pospiesznie obok. Azar patrzyła, jak znikają w głębi korytarza. Było coś pięknego w tym, że jej oczy nie są już zakryte. Szybko i zachłannie przenosiła wzrok z zielonych ścian na drzwi, ze świetlówek na suficie na ubrane w białe fartuchy i białe buty pielęgniarki, które krzątały się, otwierając i zamykając drzwi, z twarzami zaróżowionymi od emocji, gdy się tak uwijały. Czuła się bezpieczniej, kiedy mogła widzieć jak inni. Z opaską na oczach była niekompletna, okaleczona, tonęła w nieokreślonym świetle fizycznego zagrożenia, gdzie może stać się wszystko i gdzie nie mogłaby się bronić. Teraz miała wrażenie, że jednym spojrzeniem jest w stanie odegnąć ten stały lęk, który ją osacza i sprawia, że nie czuje się w pełni sobą. Z otwartymi oczami, w tym mrocznym korytarzu, wśród odgłosów życia i narodzin poczuła, że odzyskuje swoje człowieczeństwo.

Zza niektórych drzwi dobiegało stłumione kwilenie noworodków. Azar słuchała uważnie, jakby niekończący się głodny płacz niósł jej wiadomość, wiadomość z innego wymiaru czasu, z wnętrza jej ciała.

Zatrzymała się przy nich jakaś pielęgniarka. Korpulentna osoba o bystrych orzechowych oczach. Zmierzyła Azar wzrokiem od stóp do głów i zwróciła się do siostry.

— Mamy ciężki dzień. Straszny ruch z powodu Święta Ofiarowania, Eid-e Ghorban. Nie wiem, czy znajdzie się miejsce. Ale chodźcie. Lekarz przynajmniej ją obejrzy.

Pielęgniarka podprowadziła je do schodów. Azar wchodziła z trudem. Co parę stopni musiała przystawać, żeby złapać oddech. Pielęgniarka szła przodem, jakby starała się trzymać z daleka od tej więźniarki i jej męki, od potu

świecącego na wymizerowanej twarzy.

Szły z piętra na piętro, coraz wyżej. Azar brnęła z wysiłkiem z korytarza w korytarz, od jednych zamkniętych drzwi do drugich. Wreszcie lekarka w jednej z sal skinęła, żeby weszły. Azar szybko położyła się i oddała w jej sprawne, bezosobowe ręce.

Dziecko w niej wydawało się ściśnięte jak supełek.

— Jak mówiłam, nie możemy jej przyjąć — usłyszała głos pielęgniarki, kiedy lekarka wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi. — Nie jest z tego zakładu karnego. Musicie ją zawieźć gdzie indziej.

Siostra dała znak, żeby Azar wstała. Schodząc ze schodów, kondygnacja za kondygnacją, piętro po piętrze, Azar z całych sił opierała się na poręczy, z trudem łapała powietrze. Ból wrzucił wyższy bieg. Chwytał za plecy, potem za brzuch. Próbowwała oddychać, czuła się tak, jakby jakieś olbrzymie dłonie wrywały z niej dziecko. Omal się nie rozplakała. I tak jej było tego wstyd. Zaciśnęła zęby, starała się opanować. To nie miejsce na łzy. Nie na tych schodach, nie w tych długich korytarzach.

Zanim opuściły szpital, siostra upewniła się, czy opaska dokładnie przykrywa nabiegłe krwią oczy więźniarki.



Azar ponownie znalazła się na nierównej blaszanej podłodze furgonetki, drzwi się zatrzasnęły. W wozie pachniało upałem i brutalnym cierpieniem. Kiedy tylko silnik znów został uruchomiony, na przodzie podjęto przerwana rozmowę. W głosie siostry słychać było podniecenie. Jej ton i wysoki śmiech brzmiały zalotnie.

Azar skuliła się, umęczona. Furgonetka przebiegała się zygzakiem przez chaotyczny ruch na ulicy, a Azar przypomniało się, jak pierwszy raz przyprowadziła Ismaela do siebie do domu. Było gorąco, bardzo podobnie jak dziś. Pachniał słodko, mydłem i szczęściem, gdy szedł obok niej

wąską ulicą. Powiedziała, że chce mu pokazać, skąd pochodzi, dom, w którym mieszka, jego niskie ceglane mury, niebieską fontannę i jakarandę, która górowała nad wszystkim. Wahał się. A jeśli wrócą jej rodzice i go zastaną? Ale dał się przekonać.

— Tylko szybko cię oprowadzę — obiecała Azar ze śmiechem, ciągnąc go za rękę.

Przebiegli po pokojach, ciesząc się tą chwilą, sobą nawzajem, zapachem kwiatów, który ich otoczył.

Zastanawiała się, gdzie jest teraz Ismael. I czy nic mu się nie stało. Od wielu miesięcy nie miała od niego wiadomości, nawet nie wiedziała, czy żyje. Nie, nie, nie. Pokręciła głową. Nie wolno jej tak myśleć. Nie teraz. Od którejś z nowych więźniarek słyszała, że mężczyzn też przeniesiono do Ewin. Większość z nich. Jeśli dotarli do Ewin, to znaczy, że przetrwali przesłuchania i wszystko to, o czym nie śmiała myśleć w areszcie Komite-je Mosztarak. Była pewna, że Ismael jest wśród tych mężczyzn. Była pewna, że jest z nią w Ewin. Powinien być.

Jeszcze raz furgonetka się zatrzymała, a drzwi się otworzyły. Teraz jednak nie zdjęto jej opaski. Tylko ślad słonecznego światła przebijał zza niej, kiedy Azar wysiadła i chwiejnym krokiem podążyła z siostrą i braćmi do kolejnego budynku, a potem korytarzem. Musieli wejść na oddział położniczy innego szpitala, bo wkrótce do uszu Azar dotarły jęki i krzyki kobiet. Znów wstąpiła w nią nadzieja. Może teraz oddadzą ją w bezpieczne ręce lekarzy. Może to koniec męki. Opaska przesunęła się lekko, a ona z radością patrzyła na podłogę długiego korytarza wyłożoną szarymi kafłami i na metalowe nogi krzeseł stojących przy ścianach. Czuła, że ktoś ją szybko mija. Może pielęgniarce. Słyszała kroki stóp w butach na miękkich podszewkach. Lekki powiew muskał jej twarz.

Wkrótce zmienili kierunek. Znów wchodzili na schody. Jęki kobiet cichły w oddali. Azar nastawiła uszu i

zrozumiała, że prowadzą ją z oddziału położniczego gdzieś dalej. Kąciki jej oczu zadrgały. Kiedy wreszcie się zatrzymali i jakieś drzwi się otworzyły, wprowadzili ją do środka i kazali usiąść. Wyczerpana, pomału przycupnęła na drewnianym krześle. Pot spływał jej z czoła do oczu, gdy znów zawładnął nią ból. Niedługo przyjdzie lekarka, pomyślała, starając się pocieszyć.

Jednak szybko zdała sobie sprawę, że to nie na lekarza czekają, kiedy zza zamkniętych drzwi usłyszała zbliżające się kroki kogoś w plastikowych klapkach. Brzmiały coraz głośniejsze i głośniejsze. Wiedziała, co oznacza ten odgłos, i gdy go usłyszała, zrozumiała, że musi się przygotować. Wpiła palce w ciepłe, mokre od potu metalowe kajdanki i mocno zacisnęła powieki w nadziei, że to klip-klap przejdzie obok drzwi, minie je i zostawi ją w spokoju. Ale kiedy ucichło przy drzwiach, serce podeszło jej do gardła. To do niej.

Drzwi otworzyły się ze skrzyknięciem. Spod opaski dostrzegła czarne nogawki i męskie stopy o chudych palcach i spiczastych paznokciach. Słyszała, jak mężczyzna tłucze się po pokoju, przyciąga ze zgrzytem krzesło i siada. Azar cała się spięła przeciwko tej postaci, której nie mogła zobaczyć, ale której obecność wyczuwała każdą komórką swojego ciała. Dziecko w niej napierało i skręcało się. Wzdrygnęła się, ciasno owinięta czadorem.

— Imię i nazwisko?

Drżącym głosem Azar podała dane. Potem nazwę partii politycznej, do której należała, oraz imię i nazwisko męża. Kolejny przeszywający ból. Skuliła się. Z jej ust wyrwał się jęk. Ale mężczyzna zachowywał się tak, jakby nic nie widział, nie słyszał. Nadal mechanicznie sypał pytaniami, odczytywał ich listę tonem, który sugerował, że nie ma pojęcia, o co chodzi. Agresja w jego głosie brała początek z głębokiej i niebezpiecznej nudy przesłuchującego, który ma już dość zadawanych przez siebie pytań.

W pokoju było bardzo gorąco. Pod grubymi warstwami

palta i czadora ciało Azar spływało potem. Mężczyzna spytał o datę aresztowania męża. Powiedziała mu. I kogo zna, a kogo nie zna. Głos jej się łamał, kiedy przyływały kolejne fale bólu. Muszę zachować spokój, mówiła sobie, nie mogę narazić na cierpienie dziecka. Próbowała odegnać od siebie natrętną wizję — obraz dziecka, jej dziecka, zdeformowanego, wykrzywionego, udręczonego. Jak dzieci Biafry. Wydała chrapliwy jęk. Pot ściekał jej po plecach.

— Gdzie odbywały się spotkania? — zapytał mężczyzna.
— Ile osób w nich uczestniczyło?

Ściskając krzesło w napadzie wszechogarniającego bólu, Azar starała się przypomnieć sobie wszystkie właściwe odpowiedzi. Wszystkie odpowiedzi, jakie dawała podczas kolejnych przesłuchań. Żadna data, żadne nazwisko, żadna informacja lub jej brak nie mogą się różnić. Wiedziała, czemu tu jest, dlaczego uznali, że to najlepsza pora, żeby ją przesłuchać, dobrać się do niej. Tylko spokój, powtarzała sobie, odpowiadając. Kiedy pomijała nazwiska, daty, miejsca, starała się uspokoić, wyobrażając sobie swoje dziecko, jego stópki, rączki, kolana, kształt oczu, ich kolor. Kolejna eksplozja bólu. Skrzywiła się zszokowana jego siłą. Nie myślała nigdy, że taki ból jest możliwy. Zatracała się w nim. Paluszki, kostki, nosek, uszka, szyja.

Gdzie drukowała ulotki? Usłyszała powtórzone przez mężczyznę pytanie. Próbowała odpowiedzieć, ale ból całkiem nią zawładnął. Nie była w stanie mówić. Rzuciła się naprzód i przytrzymała stolika przed nią. Słyszała swoje jęki. Pępek, czarne włosy, bródka, starała się powtarzać w myślach. Wzięła głęboki oddech. Czują, że mdleje. Przygryzła język. Gryzła wargi. Czują smak krwi mieszającej się ze śliną. Gryzła zbielełe kostki rąk.

W miarę jak bóle się nasilały, świat zewnętrzny szybko się zacierał. Już nic nie słyszała, traciła świadomość tego, co dzieje się wokół niej. Fale bólu porwały ją tam, gdzie nic innego nie istnieje, nic poza męką tak dotkliwą i

niewiarygodną, jakby nie była już częścią niej, ale warunkiem życia, całej egzystencji. Azar utraciła ciało, a stała się przestrzenią, gdzie wszystko skręca się i wiję, gdzie niepodzielnie włada ból, czysty i nieskończony.

Nie wiedziała, jak długo mężczyzna czekał na odpowiedź na temat ulotek, odpowiedź nie padła. Półprzytomna zorientowała się, że tamten coś zamyka, może notes. Wiedziała, że przesłuchanie skończone. Oszłamiająca ulga. Nie słyszała, kiedy wstał, rozpoznała jednak klip-klap milknące w oddali. Wkrótce głos siostry nakazał jej wstać. Zataczając się, wyszła z pokoju i ruszyła korytarzem, mając z jednej strony siostrę, z drugiej pewnie pielęgniarkę. Z trudem dotrzymywała im kroku. Brnęła naprzód zgięta niemal we dwoje, ledwie łapiąc oddech. Kajdanki na jej nadgarstkach wydawały się nieznośnie ciężkie. Poprowadzono ją w dół po schodach. Jęki kobiet znów wypełniły jej uszy.

— No, to jesteśmy — powiedziała pielęgniarka, kiedy się zatrzymały.

Siostra rozpięła jej kajdanki i zdjęła opaskę z oczu.

Azar wdrapała się na wąską kozetkę. W pokoju było pełno personelu i lekarka. Na ścianę po jej prawej stronie padały promienie popołudniowego słońca. W przerwach między bólami Azar zapadała w półsen z wyczerpania. Z rękami leżącymi bezwładnie na łóżku, patrzyła na miękkie światło, poddając się badającym ją dłoniom.

Siostra stała przy lekarce i obserwowała wszystko w milczeniu. Azar nie chciała na nią patrzeć. Nie chciała uznać jej obecności, pragnęła całkiem o niej zapomnieć. Nie tylko o niej, ale też o wszystkim, co oznaczała jej obecność — o więzieniu, samotności, strachu, rodzeniu w niewoli. Była teraz obca, otoczona ludźmi widzącymi w niej wroga, którego należy ujarzmić i pokonać. Samo jej istnienie wydawało im się zagrożeniem dla ich władzy, dla ich rozumienia, co dobre, a co złe, moralne i niemoralne. Ci

ludzie pogardzali nią, bo nie chciała uznać ich racji za własne, te, o które walczyła. Była dla nich nieprzyjacielem, bo nie wierzyła, że ich Bóg ma odpowiedzi na wszystkie pytania.

Azar wołała zamknąć oczy i udawać, że jest gdzie indziej, w innym czasie, innym miejscu, innym szpitalu. Że stoi przy niej Ismael, gładzi jej twarz, patrzy na nią z troską, trzyma ją mocno za rękę, a jej rodzice są obok, czekają, tata chodzi tam i z powrotem korytarzem, mama zaciska dłonie na spakowanej dla niej do szpitala torbie, siedząc na brzegu krzesła, gotowa w każdej chwili pobiec do córki, gdyby tylko mogła w czymś pomóc.

Tu może wyciągać ręce na próżno. Otacza ją pustka. Jest kompletnie sama.

— Dziecko się odwróciło — słyszy głos lekarki i patrzy na swój brzuch.

Wydęcie, które było gdzieś w okolicy pępka, teraz przesunęło się wyżej, aż pod piersi.

Lekarka zwraca się do dwóch stojących za nią kobiet:

— Musimy je zepchnąć niżej.

Azar zaschło w ustach. Zepchnąć niżej? Jak? Kobiety, które pewnie były akuszerkami, podeszły. Ich poorane twarze i dłonie kojarzyły się z prowincją, dalekimi wioskami na skraju wąskich, błotnistych dróg. Trzymały w rękach jakieś podarte szmaty. Azar aż jęknęła z przerażenia. Po co to? Co zamierzają zrobić? Zakneblują ją, żeby z zewnątrz nikt nie słyszał jej krzyków? Kobiety spojrzały na siostrę, która złapała jeden kawałek materiału i pokazała, jak skrępować więźniarkę. Azar wzdrygnęła się na dotyk wilgotnych palców o zgrubiałej skórze przywiązujących jej nogę do ramy łóżka. Kobiety wahały się, ale w końcu zrobiły, co trzeba. Jedna z nich złapała Azar za nogi, druga za rękę. Azar szarpnęła się, czując kolejny skurcz. Chwila wytchnienia minęła, ból wrócił.

Lekarka narzuciła prześcieradło na kolana Azar i pochyliła

się nad nią.

— Zaczynamy.

Po związaniu Azar akuszerki splotyły palce i położyły ręce blisko jej piersi. Patrzyła na nie bezradnie, targana bólem, serce waliło jej jak szalone. Bała się ich, tego, co jej zrobią, co zrobią dziecku. Czy to w ogóle jest szpital? Kim one są? Skąd się wzięły? Czy wiedzą, co robią?

Usłyszała własny jęk. Kobiety wzięły głęboki wdech, żeby się przygotować, jak bokserzy zbierający siły przed walką. Potem z wytrzeszczonymi oczami, surowo zaciskając usta, napały na miejsce, gdzie kryło się dziecko, i popchnęły je mocno w dół dłońmi, które zapewne naciskały na brzuchy rodzących krów albo ciągnęły za drżące nogi owieczek.

Przez chwilę Azar zmartwiała od koszarnej, brutalnej siły tego pchnięcia. Potem z jej gardła wyrwał się krzyk, dziki wrzask, jakiego jeszcze nie знаła. Jego echo wstrząsnęło całym jej ciałem. Rzuciła się naprzód, starając się odegnać kobiety od swojego brzucha, od swojego dziecka. Czy je zgniotą na śmierć? Czy je zaduszą? Azar nie mogła ruszać rękami, ale starała się wyciągnąć szyję i ugryźć je, gdy kolejny przypływ bólu rzucił ją z powrotem na łóżko.

— Przyj! — nakazała lekarka.

Węzełek w brzuchu stawiał opór. Kobiety mocno szarpnęły splecionymi dłońmi. Twarze poczerwieniały im z wysiłku. Pot błyszczał na czołach i spływał bruzdami wokół nosów. Usta drżały.

Azar myślała, że umiera, wydając kolejny rozdzierający jęk. Przez chwilę nic nie widziała. Kiedy odzyskała wzrok, zobaczyła, że jedna z kobiet stoi obok niej. Ta młodsza, może w wieku Azar, tuż po dwudziestce. Jej migdałowe ciemne oczy błyszczały.

— Jest dobrze — szepnęła, dodając Azar odwagi, i położyła chłodną dłoń na jej rozpalonym czole. — Przekreśliśmy dziecko główką w dół, teraz musisz tylko przeć.

Gdy przyszedł kolejny ból, powiedziała:

— Twoje dziecko już prawie tu jest.

Uśmiechała się, ale Azar patrzyła na nią dzikim wzrokiem. Nie wiedziała, co to wszystko znaczy, co ta dziewczyna mówi. Coś w niej wydierało się na zewnątrz, nie panowała nad tym. Napięła mięśnie i wydała kolejny okrzyk.

— Tak, dobrze, przyj. Jeszcze raz.

Siostra szturchnęła Azar w ramię.

— Krzycz! Wołaj Boga! Wołaj imama Alego! Chociaż teraz!

Azar przeszył kolejny ból, zimny i ciemny. Krzyknęła i ścisnęła rękę akuszerki. Nikogo nie wołała.

— Zaraz będzie! — krzyknęła lekarka. — Dzielna dziewczyna, jeszcze jedno parcie!

Coś w niej się rozerwało. Pękło.

Azar parła resztką sił. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Gdzieś jakby z oddali usłyszała kwilenie niemowlęcia.



Nikogo przy niej nie było, kiedy otworzyła oczy. Zimny podmuch z otwartego okna sprawił, że dostała dreszczy. Nadal była przywiązana do łóżka. Straciła czucie w nogach. Wilgotne włosy lepiły się jej do twarzy. Stopy bolały jak naszpikowane okruchami szkła.

Nie miała pojęcia, ile czasu tak leży. Godziny, dni, wieczność. Nie spuszczała oczu z drzwi. Dokąd zabrali moje dziecko? — zastanawiała się. Wkrótce drzwi się otworzyły i wmaszerowała siostra, przytrzymując swój czarny czador. Azar chciała coś powiedzieć, spytać o dziecko. Miała tak wysuszone usta, że pękały w kącikach. Za siostrą wtoczyły się dwie akuszerki.

— Twoja córka jest w innej sali — oznajmiła siostra, jakby czytała Azar w myślach albo odgadła pytanie z jej spierzchniętych warg. — Nie wiem, kiedy ją tu przyniosą.

Azar zamknęła oczy. To dziewczynka, pomyślała. Mimo

wyczerpania uśmiechała się triumfalnie, ale jednocześnie czuła niepokój. Nie była pewna, czy wierzyć siostrze. A jeśli dziecko nie żyje i siostra kłamie? Jeśli to kolejny okrutny podstęp? Jeśli ten płacz, który słyszała, zamarł tak szybko, jak się pojawił? Spojrzała na młodą akuszerkę, a ta uśmiechnęła się i pokiwała głową. Azar nie miała innego wyjścia, jak uwierzyć.

Akuszerki powiozły jej łóżko korytarzem do innej sali, gdzie okno było zamknięte. Rozwiązały ją. Coś w twarzach tych kobiet przypominało Azar matki dzieci, które uczyła na przedmieściach Teheranu w pierwszym roku po rewolucji. Ciche, potulne, stojące obok swoich biednie ubranych latorośli, przyjmujące z pokorą wszystko, co tylko mówiła Azar. W ich oczach był podziw, podporządkowanie się graniczące z lękiem przed dziewczyną z miasta, która z taką łatwością otwiera i zamyka książki, mówi bezbłędnie w *farsi* — języku perskim — i ubrana po miejsku robi wrażenie kogoś z innego świata w tej klasie o glinianych ścianach stanowiącej całą szkołę.

Azar aż serce bolało na myśl o dniach, gdy z takim zapałem pracowała dla przechodzącego przemiany kraju, lepszego, bardziej sprawiedliwego. Jaka szczęśliwa wracała wieczorem autobusem do Teheranu. Czuła się zjednoczona z tym miastem, kipiąc z emocji, pełna entuzjazmu dla tego, co się dzieje i co niesie przyszłość. Nie mogła się doczekać, kiedy dotrze do domu, ich małego mieszkanka, do Ismaela. Pamięta, jak dostrzegала przeświecające zza zasłon światło lampy w stołowym i jak na ten widok czuła przyływ radości. Co wieczór to światło, które oznaczało, że Ismael jest w domu i za chwilę ją obejmie, sprawiało, że się uśmiechała i z bijącym sercem wbiegała po schodach. Wchodząc do mieszkania, czuła unoszący się w powietrzu aromat gotowanego ryżu, a Ismael podchodził do niej, przyciągał ją do siebie i witał pozdrowieniem: *Chaste nabaszid, azizam*. „Obyś nigdy nie była zmęczona, moja kochana”. Parzyła

herbatę i kiedy razem ją pili, siedząc przy wąskim oknie, które wychodziło na podwórko i drzewa tonące w ciemnościach nocy, opowiadał jej o Karolu Marksie, a ona czytała mu wiersze Forugh Farrochzad.

Zaledwie rok minął od czasu rewolucji. Azar i Ismaela nadal rozpierała ekstatyczna energia. Ze łzami radości w oczach, załamującymi się z emocji głosami mówili o swoim triumfie, o triumfie narodu, który zmusił do ustąpienia monarchę, niegdyś nietykalnego króla. Byli pełni nadziei. A jednak wiedzieli, że coś poszło nie tak. Władzę przejęli mężczyźni o surowych twarzach i zaciętych, wykrzywionych wściekłością ustach, którzy odwoływali się do Boga i twierdzili, że niosą prawdę i święte prawa. To było przerażające. Co się dzieje? Zadawała czasami to pytanie Ismaelowi, zrozpaczona. Stopniowo dla wszystkich stawało się jasne, że ci ludzie uważają się za jedyne pełnoprawnych właścicieli rewolucji, bezsprzecznych zwycięzców. Oczyszczili uniwersytety z tego, co nazywali działalnością antyrewolucyjną, likwidowali gazety i partie. Ich słowo stało się prawem i wszyscy inni musieli zejść do podziemia, z Azar i Ismaelem włącznie.

Azar zwinęła się w kłębek. Dostała dreszczy i nie mogła przestać się trząść. Młoda akuszerka ruszyła po jakiś koc, żeby ją okryć. Azar skuliła się pod nim, starając się rozgrzać. Kobiety wyszły, cicho zamykając za sobą drzwi.

Azar naciągnęła koc na głowę, próbowała wdychać ciepło. Zamknęła oczy i kołysała się z boku na bok, czekając, żeby ciepło zadomowiło się w niej, żeby wrócił spokój. Długo tak się chowała pod kocem, bezkształtna masa.

Stopniowo, kiedy jej ciało się trochę rozgrzało, wysunęła głowę, a potem ramiona. Niedaleko niej, po drugiej stronie pokoju, było puste łóżko z odrzuconym przykryciem i wgnieceniem na poduszce. Ktoś musiał tu leżeć bardzo niedawno. Na podłodze przy łóżku stał talerz z niedojedzonym ryżem i groszkiem. Gdy to zauważyła, zdała

sobie sprawę, jak potwornie jest głodna. Nie jadła od poprzedniego wieczoru. Nie mogła oderwać oczu od talerza. Wyplątała się spod koca. To jej szansa. Musi dotrzeć do talerza. Próbowwała wstać, ale drżące nogi ugięły się pod nią. Żeby nie upaść, przytrzymała się brzegu łóżka i pomалу opuściła na podłogę. Serce biło jej mocno, kiedy na czworakach zaczęła posuwać się naprzód po zimnych kafelkach.

Im bliżej talerza, tym śmielej, tym bardziej zdecydowana pochłonąć ryż aż do ostatniego ziarenka. Zje bez pytania siostry o pozwolenie. Złapie ten talerz i wepchnie sobie do ust wszystko, co na nim jest. Żeby stało się jej własne, stało się częścią jej ciała, jej jestestwa. Miała zamiar pojąć to wszystko, ryż, groszek, sam talerz. Przyszło jej nawet do głowy, żeby ukryć gdzieś talerz i zabrać go ze sobą do więzienia. Aż robiło się jej niedobrze z głodu, własna bezczelność przyprawiała ją o mdłości, radość, że będzie jeść, mieszała się ze strachem, że zostanie złapana, zanim sięgnie tego jedzenia, tego skarbu, który w tej chwili był na wagę życia. Opierała się łokciami o podłogę i starała posuwać szybciej.

Ryż był zimny, suchy i kiedy go połykała, czuła, jak ostre ziarenka drapią jej gardło, i myślała o wiadrach jedzenia, które siostry dadzą więźniarkom w porze lunchu. Jej palce pracowały szybko, zbierając ryż i groszek i wpychając jedzenie do ust. Zęby bolały, a język nie czuł żadnego smaku. Żuła w pośpiechu, ziarenka wysypywały się z jej palców. W każdej chwili to mogło zniknąć, pogrążając ją na powrót w rzeczywistości, w której nic do niej nie należy i w której nie może nic dać ani wziąć. Wystarczy, że siostra wejdzie do pokoju i zabierze jej talerz. Ale na razie Azar jadła. To jej moment.



Lekarka w białym fartuchu uśmiechnęła się do Azar,

mierząc jej ciśnienie. Niebieskawe cienie pod oczami nie pasowały do serdecznej, okrągłej twarzy. Po drugiej stronie łóżka stała siostra. Zrelaksowana, z opuszczonymi rękami. Wyglądała tak, jakby było jej bardzo wygodnie w czarnym czadorze. One wszystkie robiły takie wrażenie. Te siostry. Chodziły, gestykulowały, podawały wiadra z jedzeniem, zawiązywały opaski na oczach, zamykały i otwierały drzwi i kajdanki tak zręcznie, jakby ta ciężka, śliska materia nie istniała, jakby nie spowijała ich niczym skrzydła śpiącego nietoperza. Azar wiedziała, że lepiej nie pytać siostry o dziecko za często. Jeśli pokaże, jak bardzo jej na tym zależy, siostra może jeszcze bardziej zwlekać z przyniesieniem go. Na złość, żeby bardziej cierpiała. Dlatego musi być potulna, musi być cierpliwa.

— Doszło do pęknięcia wewnątrz, może wdać się infekcja — stwierdziła lekarka, przerywając pompowanie mankiету na rękę Azar. — Musi zostać w szpitalu co najmniej dwa dni.

Siostra uniosła głowę, jakby chciała dać do zrozumienia, że to ona decyduje. Jej duże oczy, wywinięta dolna warga i brak jednego zęba, widoczny w rzadkich chwilach, kiedy się uśmiechała, przywodziły Azar na myśl biedę spowitych pyłem peryferii, leniwe popołudniowe wystawanie w progu i plotkowanie z sąsiadkami, obserwowanie chłopaków grających w piłkę nożną na piaszczystych drogach, wzdychanie do kolorowej telewizji i niechęć do kontynuowania nauki po szóstej klasie. I oto teraz ona, kobieta z ubogich peryferii, plebejska królowa, zarzuca swój wielki czarny czador na miasto i jego uprzywilejowane mieszkanki. Siostra pomału uczyła się być dumna z tej swojej biedy, tak jak z czadora.

— Mamy tam wszystko, co trzeba — zapewniła teraz zimnym, beznamiętnym tonem. — Zajmiemy się nią.

Pod przykryciem wychudzona ręka Azar powędrowała na brzeg łóżka i z całych sił uszczypnęła nogę lekarki.

— Musimy zabić w niej bakterie. — Kobieta patrzyła na

siostrę, niczym nie zdradzając, że coś poczuła. — To potrwa kilka dni.

— Nie, zajmiemy się tym u nas. Wszystko mamy. Lekarki. Szpital. Leki.

Azar chciała krzyknąć, że to nieprawda, że siostra kłamie, że zostawia ją z tym rozdarciem w środku, że infekcja się rozszerzy, że ona będzie gnicić od środka. Uszczypnęła nogę lekarki jeszcze raz. Mocniej. Chwyciła się jej kurczowo.

— To trzeba wyleczyć, ona wymaga teraz opieki, fachowej opieki w szpitalu — upierała się lekarka. Najwyraźniej rozumiała znaczenie uszczypnięć Azar. — Musimy kontrolować jej stan. Doszło do pęknięcia wewnątrz.

Siostra popatrzyła gniewnie na Azar, tak jakby wewnętrzne obrażenia to była jej wina. Dłoń Azar leżała już bezwładnie na brzegu łóżka. Siostra skinęła na lekarkę, żeby z nią wyszła. Zanim ruszyły do drzwi, Azar złapała lekarkę za rękę.

— Moja córeczka? — szepnęła.

Kobieta położyła dłoń na jej zaciśniętych palcach.

— Wszystko z nią w porządku. Nie martw się. Niedługo ją dostaniesz.



Azar siedziała na łóżku, wpatrując się w drzwi, na próżno czekając na dziecko. Splotała dłonie, roztrzęsiona z gniewu, frustracji, tęsknoty i strachu. Z każdą mijającą godziną traciła cierpliwość. Przez dziewięć długich miesięcy żyła z tym dzieckiem w sobie, czuła, jak rośnie, chroniła je, wszystko z nim przeżywała. To nie do zniesienia, że nadal nie może go zobaczyć, przytulić, że nie ma pojęcia, czy jest bardziej podobne do niej, czy do Ismaela, że nawet nie wie na pewno, czy ono żyje. Kiedy minuty wlokły się w nieskończoność, a ona spoglądała na drzwi, czuła tak straszliwą tęsknotę za tym dzieckiem, że ledwie mogła oddychać.

Popołudniowe promienie słońca dogasały, rzucając cienie na ściany. Azar z wysiłkiem oparła się o parapet i uniosła, żeby wyrzucić przez okno. Chciała wiedzieć, gdzie się znajduje. Przez nieliczne szarawe liście jaworów dostrzegła most, na którym utworzył się korek w godzinie szczytu. W powietrzu wisiał smog. Ostatnie dni letnich upałów. Z daleka dobiegało echo klaksonów. Zobaczyła stado ptaków przelatujące po niebie: zatoczyły wielki krąg i przysiadły na gałęziach drzew. Miasto wyglądało inaczej. Wszystko było pobielone, nieskazitelne, błyszczące. Wydawało się, że betonowe budynki ochlapano białą farbą w pośpiechu, jakby trzeba było coś ukryć — krew, sadzę, historię, wojnę, niekończącą się wojnę. Gorączkowo starano się zamaskować zniszczenia, które przecież coraz bardziej dotyczyły każdego z osobna.

Choć Azar nie urodziła się tutaj, Teheran zawsze był jej miejscem na ziemi, tu czuła się u siebie. Uwielbiała to miasto, ruch uliczny, brudne białe zabudowania i wszechogarniający chaos. Kochała je bardzo. Uwierzyła, że może zmienić jego los. To właśnie powiedziała Ismaelowi, kiedy poinformowała go o swojej decyzji, że będzie kontynuować działalność polityczną.

— Nie dla takiej rzeczywistości walczyliśmy i ryzykowaliśmy życie — oświadczyła. — Nie możemy pozwolić, żeby wszystko nam odebrali.

Ismael towarzyszył jej wiernie na każdym etapie.

— Cokolwiek robimy, musimy robić to razem — powiedział.

Cokolwiek się z nimi stanie, to będzie ich wspólna dola. Szybko udzielił mu się jej zapał. Chodził z nią na tajne spotkania w dusznych salkach, pomagał drukować ulotki, przynosić wiadomości w paczkach papierosów, mówił o przyszłości na swoim uniwersytecie. W pewnym momencie, kiedy zaczęły się prześladowania i kontakty z rodziną stały się zbyt niebezpieczne, przestali dzwonić do rodziców i nie

odbierali też telefonów od nich, przestali ich odwiedzać. Nawzajem się sobie wyplakiwali, zrozpaczeni, niepewni, co robić. Nie mieli już sił brnąć dalej, ale wiedzieli, że za późno na odwrót. Drzwi ich mieszkania stały się złowrogie, patrzące na nich nieufnie, domagające się odpowiedzi na niezadane pytania utrwalone w nich uporczywym pukaniem rodziców. To wtedy postanowili się przeprowadzić i w ten sposób zatrzeć po sobie ślad na zawsze. Tak było łatwiej. Nikt już nie będzie łomotać do drzwi. Odcięli się, udawali, że zapomnieli.

Czy było warto? Azar odgarnęła włosy z twarzy. Czy Ismael kiedykolwiek wybaczy jej to, że przedkładała walkę ponad wszystko inne? Ponad niego, ich wspólne życie, dziecko rosnące w jej łonie? Czy dostaną drugą szansę?

Zdenerwowała się. Opierając chude łokcie o parapet, przyłożyła czoło do ciepłej szyby. Ruch na moście to ożywał, to zamierał. Ścisk. Choć była tak daleko, widziała malutkie, zniecierpliwione twarze w autach, niespokojnych motocyklistów, którzy utknęli i nie byli w stanie przebić się między samochodami. Nad tym wszystkim górował niczym gigantyczna chmura billboard z jedną z maksym Najwyższego Przywódcy wypisaną staranną, elegancką kursywą: *Nasza rewolucja to eksplozja światła*. Obok tego namalowano eksplozje jak fajerwerki.

Na chodniku, pod billboardem, stał jakiś mężczyzna i patrzył na sznur aut, zagubiony. Robił wrażenie bardzo zmęczonego, dużo starszego, niż był naprawdę. Słońce świeciło mu prosto w bladą, wymizerowaną twarz. Na jego widok Azar zamarło serce. Jej twarz się rozpromieniła. Otworzyła usta ze zdumienia.

— Tato! — krzyknęła, uderzając w okno otwartą dłońią.

Ojciec jej nie usłyszał. Ani nie spojrział w górę. Postawił torby na ziemi i wyciągnął z kieszeni chustkę, żeby otrzeć pot z czoła. Jego żyłaste ciało przygarbiło się pod ciężarem czegoś innego niż wiek.